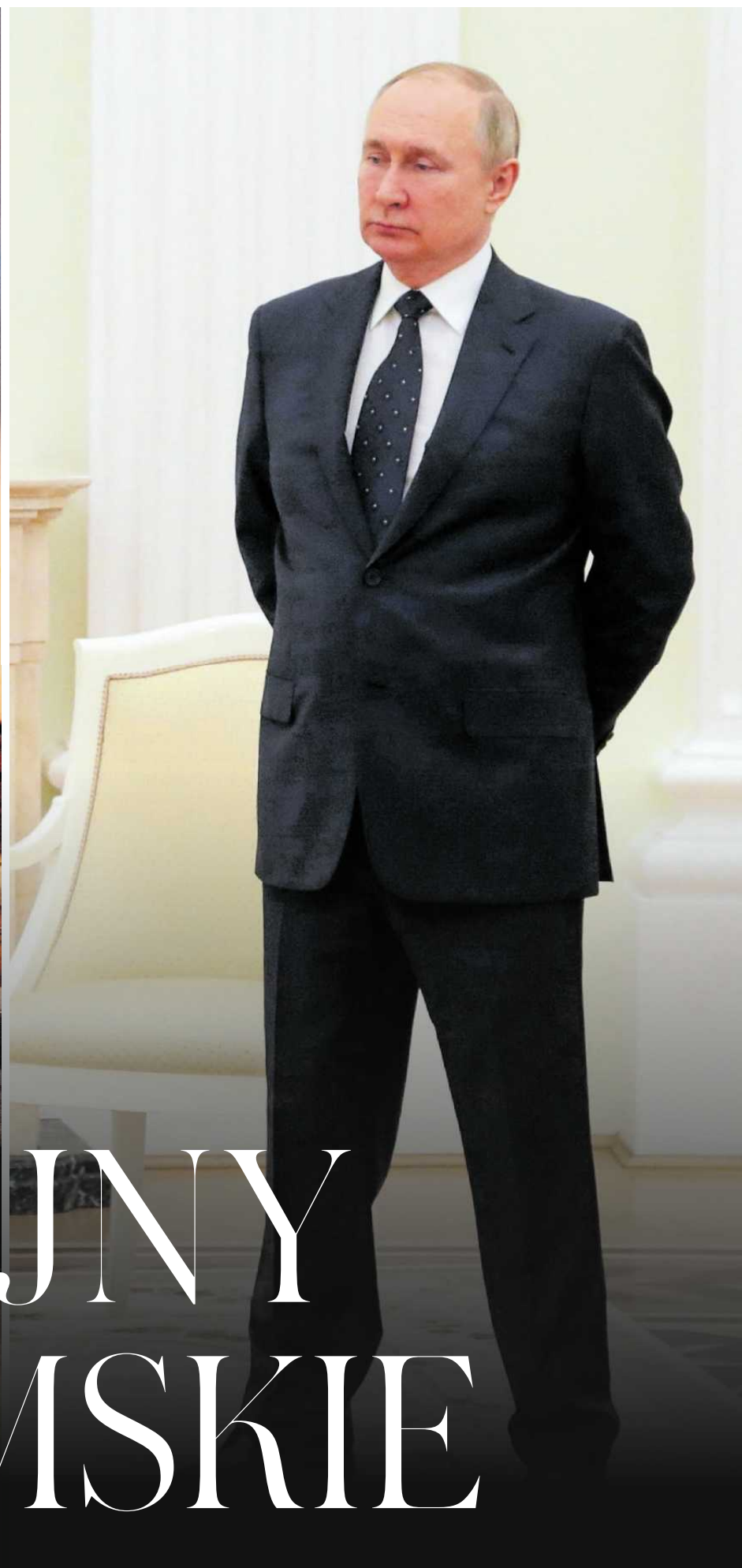


FOT. INCAMERA/STOCK / ALAMY/STOCKPHOTO



FOT. MIKHAIL KLIMENTYEV / AP

WOJNY KRYMSKIE

• Dla cara Mikołaja I wojna krymska (1853-56) okazała się klęską. Władimir Putin wojnę z Ukrainą rozpoczął w 2014 r. także na Krymie. Dziś toczy się ona głównie na wschodnich rubieżach kraju, a Putin ją niewątpliwie również przegrywa

„Alle Juden raus!”...

Przejmujące świadectwo Zagłady polskich Żydów. Autor określił je jako „głos samotnego chrześcijanina”

2

Wyzwolenie ambasadora

Gdy Romuald Spasowski dowiedział się o rzezi w kopalni Wujek, powiedział sobie: „Krwi robotniczej nie daruję...”

7

Biografia rzeki

Żarliwość, z jaką polscy artyści opiewają Wisłę, jest odwrotnie proporcjonalna do troski, jaką jej okazujemy

8

T

Tekst jest przejmującym zapisem faktów dotyczących Zagłady Żydów na ziemiach polskich, opatrzonym emocjonalnym komentarzem pisany niemal na gorąco, tuż po, a nawet jeszcze w czasie dokonującej się tragedii. Przypominamy obszernie fragmenty artykułu Tymona Terleckiego w 81. rocznicę rozpoczęcia przez Niemców wielkiej akcji likwidacyjnej w getcie warszawskim. Podczas tej zbrodniczej operacji, trwającej od 22 lipca do 21 września 1942 r., Niemcy wywieźli i zamordowali, głównie w Treblince, około 300 tys. Żydów.

Skróty tekstu oraz wyjaśnienia w nawiązaniach kwadratowych pochodzą od redakcji. Zachowaliśmy oryginalną pisownię.

Obszerna informacja o Tymonie Terleckim autorstwa prof. Anny Kuligowskiej-Korzeniewskiej na końcu pod tekstem.

Gdy pióro moje ruchem zwykłym, nieledwie automatycznym, dotyka papieru, ostygły już mury getta w Warszawie, obrócił się pełny rok od rozpoczęcia tragedii — jednej z ciemniejszych, okropniejszych, najbardziej nieludzkich wśród tych, jakie znają dzieje człowieka na tej planecie. Mimo że parabola tragedii, gwałtownie wspięta w górę, równie gwałtownie sięgnęła ziemi, zapadła w masowe groby Belżca, Treblinki, Sobiboru, w ruiny Warszawy, po raz drugi naznaczone zniszczeniem, mimo że ilość faktów jest znaczna, pewność ich już, niestety, bezsporna — mimo to wszystko rozmiar zbrodni, a przede wszystkim jej ciężar moralny, precedens, metody, cała urągająca Bogu, człowiekowi i cywilizacji potworność nie jest jeszcze w żadnym stopniu ugruntowana w świadomości świata.

To co tu w tej sprawie zostanie powiedziane na pewno nie zmieni takiego stanu rzeczy. To co tu zostanie powiedziane nie jest też wyrazem żadnej zbiorowości zorganizowanej, grupy, partii, obozu. Jest to głos samotnego chrześcijanina. Jest to bez wątpienia słaba i małoważna próba spojrzenia prawdzie w oczy, podźwignięcia całego jej ciężaru. Jest to tylko zadośćuczynienie własnemu sumieniu.

MOTYW MONSTRUALNOŚCI

Leży przede mną malutka, dwudziesto-ośmiostronicowa broszurka, przywieziona z Kraju. Nosi tytuł: „Likwidacja getta warszawskiego — reportaż”; autor ukrywa się pod kryptonimem „M.B.” [wyjaśnienie, kim był, w nocie pod tekstem]. (...)

Czytam na pierwszej stronie tej broszury: „Cokolwiek opowie się o »likwidacji« warszawskiego getta to będzie zarazem za mało, gdyż suma cierpienia, lęku, poniżenia i śmierci objąć i wypowiedzieć się nie da, i — zarazem za wiele, gdyż zdaję sobie sprawę, że kto sam przez to piekło nie przeszedł, ten pojąć go nie zdoła. Więcej, nie będzie skłonny, ani zdolny uwierzyć, że »wszystko to działo się naprawdę«”...

Myślę, że w tem stwierdzeniu (...) zawiera się główny, najistotniejszy motyw tragedii — motyw monstrualności. (...) To Hitler postawił tezę, że w małe kłamstwa ludzie nie wierzą, ale w kłamstwa wielkie, olbrzymie, absurdalne, skłonni są uwierzyć.

W systemie wytracania Żydów występuje jakby odwrócenie tego odkrycia psycho-

logicznego. Jest to jeszcze bardziej niewiarogodny objaw moralnego ryzykanctwa. Mała, zwykła, „ludzka” zbrodnia nosi znamiona prawdopodobieństwa, mieści się w granicach odczuwania i wyobraźni, mobilizuje oburzenie, sprzeciw sumienia, wydziera krzyk. Zbrodnia olbrzymia, ponadmierna, monsturalna, przerasta te możliwości, pozostaje poza obrębem normalnej zdolności odczucia i wyobrażenia. Jest właściwie niepoznawalna. Nie podlega więc — tu jest wyzwanie moralnego ryzykanctwa — potępieniu i karze. (...)

MOTYW KŁAMSTWA I STRACHU

Ostatnie miesiące i tygodnie przed rozpoczęciem „akcji” [likwidacyjnej warszawskiego getta] znaczyły właściwie ustalenie się form życia anormalnego zbiorowiska ludzkiego. Niemcy stwarzali pozory, że stanowi ono fakt pożądaný i akceptowany przez nich. Pozwolono na uruchomienie nowych szkół powszechnych, otwarto kilka ogródków dziecięcych, przesunięto godzinę policyjną z 9-ej na 10-ą wiecz. Kilkakrotnie Rada Żydowska, opierając się na zapewnieniach władz niemieckich, demontowała wieści o wysiedleniu. Jeszcze dn. 18 lipca 1942 r. prezes tej Rady [Adam] Czerniakow zaprzeczał kategorycznie jakoby ghetto miało cokolwiek grozić. Dn. 22 t.m. ukazało się „Obwieszczenie”, zaczynające się od słów: „Na rozkaz władz niemieckich będą wysiedleni na wschód wszyscy Żydzi zamieszkałi w Warszawie bez względu na wiek i płeć”. To zdanie jest kłamstwem.

Kłamstwem jest wszystko, co następuje po nim: 8 punktów wyszczególniających kategorie ludzi, którzy jakoby będą wyłączeni z tego postanowienia. Kłamstwem jest wszystko co to zdanie w praktyce pociąga.

Motyw tchórzliwego kłamstwa, oszukiwania słabych i bezbronych, powtarza się od pierwszych słów pamiętnego „Obwieszczenia” aż do wielkiego transparentu w obozie śmierci, w Treblince, na kilka minut, na kilkanaście sekund przed progiem kaźni wymownie i natarczywie zapewniającego, że skazani idą nie na śmierć, ale do... kąpieli. (...)

Kłamstwo niemieckie (...) stwarzało usilnie i wszelkimi sposobami pozory rzeczywistego „wysiedlenia”. Zostawiało wiele furtek umożliwiających wymknięcie się postanowieniom. Ale — i to jest najważniejsze — dzieliło i tak już rozdarte podziałami społeczeństwo ghettowe na grupy: uprzywilejowanych, mogących się dokupić przywileju złudnego ocalenia, i parjasów, skazanych od razu i bezapelacyjnie na śmierć. Gdyby brzmienie pierwszego obwieszczenia przetłumaczyć na język cyfr, „tylko” 70 000 z 500 000 mieszkańców getta miałyby wyjść poza jego obręb. Naprawdę wyszło w lipcu i w sierpniu przeszło 300 000, a w ostatniej fazie przepadła w już beznadziejnej walce reszta. (...)

OBŁĘD WOBEC OBŁĘDU

Nie można pojąć niczego z tej sprawy, która jest właściwie ponad pojęcie, jeśli się nie przyjmie, że ghetto w to najciemniejsze lato 1942 r. było miastem obłędu. Na małym skrawku ziemi, obrzeżonym 16 km murów, zamkniętym od świata, zapomnianym na te godziny od Boga, stały naprzeciw siebie dwa ludzkie obłędy: psychoza bezgranicznego okrucieństwa i psychoza bezgranicznego lęku. Zimna, jadowita perfidja, która jest przeciw stanem nadintelektualnym, żelazna organizacja, działająca jak automat, w psychopatycznym rytmie, w skandzie niewzruszonym — i zbiorowisko na dnie prostracji, rozproszkowane bez reszty, rozbite na atomy, które przestało być związaną, świadomą związką społecznością. Można powiedzieć: oszalała bragownica, młot mechaniczny, w który wstąpiła wszystka szatańskość sadyzmu, i naprzeciw tego sypka diuna, której każde ziarno

Przejmujące świadectwo Zagłady polskich Żydów

„ALLE JUDEN RAUS!” ...

Artykuł pod takim tytułem ukazał się 7 listopada 1943 r. w londyńskich „Wiadomościach Polskich, Politycznych i Literackich”. Jego autor Tymon Terlecki określił go jako „głos samotnego chrześcijanina”.

Tymon Terlecki



• Żydzi z warszawskiego getta tuż przed odprowadzeniem na Umschlagplatz. Zdjęcie pochodzi z raportu Jürgena Stroopa, który dowodził likwidacją getta FOT. JA

piasku osobno szaleje ze strachu przed porywem, mogącym je w każdej chwili pochwyć, przed uderzeniem, które może je w każdej chwili zmiążyć, komunikuje się z sąsiednim ziarnem tylko infekcją tego beznadziejnego, ślepego dygotu.

Właśnie to tłumaczy po stronie żydowskiej wiele rzeczy niepojętych. Nie tylko to, że tysiące szły dobrowolnie po ten przedśmiertny, haniebny chleb [rozdawany dobrowolnie zgłaszającym się do „wysiedlenia”], hańbiący przede wszystkim oprawcę, który kupował nim potulność ofiary. Tłumaczy rzecz najstraszniejszą: czynny współudział Żydów w wytraceniu getta, w wytraceniu siebie samych. Bo ta zbrodnia pomyślana, powzięta przez narodowy socjalizm, przygotowana psychicznie, wykalkulowana technicznie (...) ma także jedyny w swoim rodzaju aspekt samobójczy. Ale i ten aspekt obciąża tylko jeden rachunek — niemiecki.

Trzeba sobie uświadomić, że cała sprawa likwidacji getta formalnie dokonywa-

ła się przez jego ciało przewodzące — Radę Żydowską. Wszystkie rozporządzenia, które cytowałem, i in. są podpisane przez tę Radę albo przez kierownictwo Żydowskiej Służby Porządkowej (...). Rada, w całkowitej dobrej woli, poparła plany Niemców, zdążające do częściowego przesiedlenia Żydów z getta warszawskiego. Dała wiarę temu co mówili, choć powietrze w ghecie było ciężkie od wieści dochodzących z lubelszczyzny. Ale już w dwa dni później prezes Rady i najlepszy z niej, inż. Czerniakow, stanął przed jasną świadomością, że zamiary Niemców idą o wiele dalej. Po rozmowie z oficerami z S.S., którzy postawili żądania zwiększenia kontyngentu, zażył cjankali i zmarł natychmiast. (...)

Najbardziej wstrząsające w geście Czerniakowa jest to, że był on tak samo daremny, jak później gest samobójczy Zygielbojma. Zygielbojm nie poruszył świata. Czerniakow nie ocucił getta. Było ono wtedy wprawione w somnambuliczny ta-

niec, w zadyszany, ślepy wyścig za świadectwami pracy („Ausweisy”, „Arbeitskarty”), zahipnotyzowane magiczną wymową, siłą papierka napisanego w języku niemieckiej wszechmocy, niemieckiej transcendentalnej laski. W egoistycznym odruchu poświęcało „uciążliwych”, więźniów, uchodźców, posiadaczy jednego tylko bogactwa: bezplatnych kart żywnościowych, proletarijat z „domów śmierci”, w których ludzie i tak marli z głodu — w złudnym przekonaniu, że zsyłka ominie całą resztę, ominie każdego, kto na własną rękę przekupi los, zakłnie go, wydrze mu zbawcze zakłęcie. Wierzyło, chciało wierzyć Niemcom wbrew wszystkiemu. Chciało przetrwać, przejść pobok, chciało żyć za wszelką cenę.

PORAŻENIE INSTYNKTU ŻYCIA

(...) Autor notatniczka, do którego ciągle wracam, odsłania mimochodem „przygotowanie psychiczne” tego stanu, stwierdzając, że nacale miesiące przed akcją wysiedleńczą „istotą charakteru warszawskiego ghetta był niepokój” — najbardziej zakaźna z chorób psychicznych, o największej sile infekcyjnej, o najwyższej uporczywości. (...)

Ale i to nie tłumaczy jeszcze tej przerażającej bierności wobec grozy śmierci. Kronikarz tłumaczy ją kilku innymi przyczynami: rozdarciem klasowym, systematycznym wygłodzeniem, długą tresurą terroru, poniewierki, przygnębieniem wywołanym przez ówczesne klęski sprzymierzonych, żasugerowaniem przez potęgę i organizację niemiecką. (...)

Opisując, pod datą 1 sierpnia, pochód ludzi złapanych przemocą na zsyłkę, dodaje jeszcze jedną przyczynę: „Nadzieja ocalenia, nieraz zupełnie irracjonalna, bezpodstawna, trwająca wbrew oczywistości”. Jest to już nie przyczyna, ale skutek wszystkich tamtych przyczyn: właśnie porażenie centrów instynktu samozachowania, paraliż woli życia.

„Szło około 400 ludzi, schwytanych w wielkiej obławie ulicznej na ul. Nowolipie. Tych czterystu prowadziło 8 Niemców, uzbrojonych tylko w baty-bykowce, których zresztą często gęsto używali. Pierwszy odruch — to zdumienie i jakby pogarda: czemu nie uciekacie? Czemu nie rzucacie się na tych oprawców? Zginiecie przynajmniej w walce, w ucieczce, w oporze... Potem zrozumiałem, że oni wszyscy mają jeszcze nadzieję!”. (...)

Ale w tym posępnym dramacie, w tym kręgu zbrodni, istnieje punkt, w którym zaraza zbrodniarzy czepia się, jak trąd, ofiar mordercy. Jest to Żydowska Służba Porządkowa. Sformowana, podobno z inteligentów, tresowana według praktyk wychowawczych systemu hitlerowskiego, zhańbiła się ona w sposób ohydny i daremny, nawet ze stanowiska najniższego wyrachowania. Gdy z całą gorliwością wypełniała podrzędne funkcje katowskie, szydlerczo wytrzymała całą głuchą wzgardę współrodaków — odbyła ten sam szlak wędrówki po masowej śmierci.

Trudno w obliczu tego upodlenia nie przypomnieć chrześcijańskiej prawdy, iż nie ma kompromisu ze złem, chrześcijańskiego przeświadczenia o sile zakaźnej, śmiertelnej groźbie każdego z niem zętknięcia. Nie można też nie myśleć o tej samej stracie instynktu istnienia, o paraliżu woli życia. I o jeszcze jednym: że wina tego także, ludzkiego upodlenia, wina potwornej deprawacji, obciąża tylko i wyłącznie — sumienie niemieckie.

„VERNICHT-UNGSSCHLACHT”

Przy takim przygotowaniu, w takich „strategicznie” wytworzonych okolicznościach przebieg kampanji w ghecie warszawskim był jeszcze jednym tryumfem metody brutalności i miazdzącego tempa „Vernichtungsschlacht” [bitwy niosącej zagładę]. Zrazu



• Tekst Tymona Terleckiego w „Wiadomościach Polskich, Politycznych i Literackich” FOT. JA

brano 5000 ludzi dziennie, później tę cyfrę podwyższono, doprowadzając ją niekiedy do 10 000. (...)

Pod datą 24 lipca czytam w dzienniku obserwatora: „Na pl. Grzybowskiem widziałem dziś pochód wysiedleńców w drodze na »Umschlagplatz«. Szło około 3000 ludzi — kobiet, mężczyzn, dzieci. Szli trójkami — szyk niemiecki. Po obu stronach szpaler żydowskich milicjantów z pałkami i S.S. z karabinami i bykowcami. Żydzi niesli prawie wszyscy jakieś tobołki, zawiniątka, w rękach wielu dzierżyło papierki — to te *Meldekarty*, *Arbeitskarty*, *Ausweisy* — nadzieje ocalenia. Szli prędko i nawoływali się wzajemnie: równać, dołączać! Jakis stary człowiek potknął się raz i drugi, wyszedł z szeregu, oparł się o ścianę. Niemiec uderzył go nahają po głowie i grzbiecie. Człowiek przewrócił się. Niemiec wyciągnął rewolwer, strzelił do niego i pobiegł dalej nie oglądając się. Było to o jakieś dziesięć kroków ode mnie. Nie potrafię wypowiedzieć fizycznego uczucia grozy jakiego doznałem. Musiałem wejść do bramy i oprzeć się o mur”. (...)

Dn. 30 lipca pamiętnikarz tak opisuje wrażenie z tego etapu [likwidacji getta]: „Pojechaliśmy rikszą na ul. Stawki. (...) Niedaleko odbywała się ostateczna selekcja. Kolejno przechodził wąski sznur Żydów przez kontrolę, dokonywaną pośpiesznie i powierzchownie. Mój towarzysz stanął obok stolika, chwilami wtrącał się, udzielał jakichś wyjaśnień. W pewnym momencie dostrzegłem jak ukradkiem wcisnął do ręki nadchodzącego do kontroli mężczyzny jakiś papier. Tamten wręczył go Niemcowi przy stoliku i został przesunięty do grupy tych, których wyłączono od wywozu. Jakaś kobieta, zdaje się żona, usiłowała ucześcić się jego ramienia i odejść razem, lecz żandarm oderwał ją siłą, zdzielił pięścią po twarzy i wepchnął w druty prowadzące do pociągu. Zaraz potem odeszliśmy z tego miejsca. (...)

Tymczasem na ulicy p. Ch. opowiada mi szczegóły o samym wywozie. Otóż wszystkie pociągi, lub niemal wszystkie kierowane są do Treblinki. Odchodzi codziennie pociąg z 58 wagonów po ok. 100 ludzi oraz 2 wagonny obsługi. Od paru dni zresztą podwyższono dzienny »kontyngent« do 10 000 — ma być uruchomiony drugi pociąg, lecz narazie radzą sobie poprostu tak, że wypychają dwa razy tyle, toteż warunki są takie, że mnóstwo osób mrze już w pierwszym etapie”.

Później, gdy brakło gotowych skupisk zamkniętych, zastosowano system blokady domów. Dokonywała tego policja gheztowa, przeszukując skrupulatnie otoczone domy, wybierając potrzebny „kontyngent”, jak ryby z saka. Z czasem zaczęto „blokować” całe ulice. Brali w tem udział także S.S. Krzyk przekładany wystrzałami rewolwerów: „Alle Juden raus! Alle Juden runter!” [Wszyscy Żydzi precz! Wszyscy Żydzi na dno!] — oznaczał zagładę, był odzwemb cyklonu. (...)

Pod koniec pierwszej połowy sierpnia zastosowano jeszcze jeden djaboliczny

manewr: zaczęto przesiedlenia w obrębie samego ghetta, zaczęto oszalała masę ludzką przesywać z miejsca na miejsce, jak kupę piasku, spiętrzać ją, jak lawicę ryb w ślepej odnodze. Ghetto kurczy się terytorjalnie, zasieki z drutów, parkany znaczą jego ruchomą, dotkniętą spazmatycznym skurczem granicę. Teraz już dochodzi do głosu otwarty cynizm: unieważniono dotychczasowe legitymacje fabryczne, zaczęto blokadę i oczyszczanie „szopów” niemieckich. (...)

Ostatni akord przypadł na 21 września w święto Jom Kipur — Sądny Dzień. Może to przypadek, może premedytacja niemieckich zbirów, rozkochanych w wagnerowskim kiczu.

MOTYW HERODOWY

(...) Dn. 3 sierpnia wywieziono cały internat dziecięcy — prowadził go lekarz, wychowawca, pisarz, człowiek rozumny i gołębiego serca: Janusz Korczak. Szedł przez miasto, ze zamartwiającym spokojem, trzymając dwoje najmłodszych dzieci na rękach. Szedł powtarzając ewangeliczny obraz — Dobry Pasterz, pasterz tragiczny, prowadzący nie na zbawienie, ale na śmierć.

Dn. 12 sierpnia pamiętnikarz zapisuje: „Rano spotkałem dwa duże wozy naladowane trupami dzieci zupełnie małych (do 2 lat)”. Pod datą 19 sierpnia czytam znowu: „Wczoraj zarządzono, by wszystkie dzieci żydowskie stawiły się nazajutrz na Umschlagplatzu. Także wszyscy nieposiadający kart pracy. Zaciekłość w tępieniu małych dzieci jest zdumiewająca...”

Dziś wieczorem widziałem na rogu Gęsiej i Okopowej grupę około 150–200 małych dzieci zbitą w ciasny tłum. Naprzeciwko stało paru Niemców z karabinami wymierzonymi w ten tłumek. Dzieci najwidoczniej szalały ze strachu, płakały, kulily się, gryzły palce. Na boku stała osobno grupka kobiet — to pewnie matki. Jedna z nich wyrwała się z szeregu, podbiegła do Niemca, by mu coś tłumaczyć, gestykulowała, ukazywała na jakieś dziecko. Niemiec ryknął na nią, jak to oni tylko umieją — i kazał jej wracać do innych. Groził jej karabinem. Gdy odwróciła się i biegła z powrotem — wystrzelił, kładąc ją trupem”.

To jest biblijny motyw herodowy tragedji. Ale jak wszystko w niej, i ten motyw zdaje się wydrążyć od środka, pozbawiony treści, pozbawiony nawet tego pomyłonego uzasadnienia, małej, płaskiej, trwogi, że wśród dzieci jest królewski pretendent, jest Dzieciątko naznaczone Bożem Znamieniem. „Hitlerjugend” przeciwieństwo w widmami dziećmi warszawskiego ghetta walczą o świat.

Nowa wersja mitu o Herodzie była w tem tylko bardziej „humanitarna”, że zabijano dzieci razem z matkami, że nie zostawiano osieroconych matek, by nosiły po dzieciach rozpacz, głošny płacz i głuchą żalobę pośrodku nowego, wspaniałego, niemieckiego świata.

MIEJSCA KAŻNI

Jest jeszcze jedna rzecz, przed którą ploszy się, ślania, cofa wyobraźnia: miejsca kaźni, przetwórcze śmierci. (...)

Oto ustęp z protestu jednej z polskich organizacji podziemnych: „Na rampie czekają wagony kolejowe. Kaci upychają w nich skazańców po 150 osób w jednym. Na podłodze leży gruba warstwa wapna i chloru, polana wodą. Drzwi wagonu zostają zaplombowane. Czasem pociąg rusza zaraz po załadowaniu, czasem stoi na torze dobie, dwie... to niema dla nikogo żadnego znaczenia. Z ludzi stłoczonych tak ciasno, że umarli nie mogą upaść i stoją nadal ramię w ramię z żyjącymi, z ludzi konających zwolna w oparach wapna i chloru, pozbawionych powietrza, kropli wody, pożywienia — i tak nikt nie pozostanie przy życiu. Gdziekolwiek, kiedykolwiek

dojadą śmiertelne pociągi — zawierać będą tylko trupy”.

Oto ustęp z meldunku o obozie w Belżcu: „(...) Tracenie odbywa się w sposób następujący: pociąg z Żydami, po przybyciu na stację w Belżcu, bocznica podjeżdża do drutów, okalających miejsce trawienia, gdzie następuje zmiana obsługi kolejowej. Od drutów pociąg prowadzi maszyniści niemieccy, do punktu wyładawczego, gdzie kończy się tor. Po wyładunku mężczyźni udają się do baraku na prawo, kobiety do baraku położonego na lewo, gdzie rozbierają się, rzekomo do kąpieli. Po rozebraniu się obie grupy udają się do baraku trzeciego z płytą elektryczną, gdzie następuje trawienie. Następnie zwłoki są wywożone koleją do rowu, znajdującego się poza drutami, głębokiego około 30 m. Rów ten kopali Żydzi, i wszyscy zostali straceni”.

Oto fragment z relacji o Treblince: „Następuje ostatni akt tragedji treblińskiej. Sterroryzowana masa nagich mężczyzn, kobiet i dzieci wyrusza w swą ostatnią drogę na śmierć. Przedem podąża grupa kobiet z dziećmi, popędzana ciąglem biciem, szturchańcami towarzyszącymi jej Niemców z nahajami w rękę. Coraz to szybciej poganiają tę grupę, coraz to mocniej spadają razy na głowy oszalałych ze strachu i bólu kobiet. Krzyki i lamenty ofiar, przekleństwa i zlorzeczenia Niemców przerywają ciszę leśną. Ludzie nareszcie uświadomili sobie, że idą na śmierć.

U wejścia do domu śmierci nr. 1 staje sam szef z nahajem w rękę i z zimną krwią zapędza biciem kobiety do wnętrza. Podłoga w komorach jest śliska. Ludzie poślizgują się i padają a podnieść się już nie mogą, gdyż na nich wałą się nowe rzesze wpędzanych siłą ofiar. Małe dzieci wrzucą szef poprzez głowy kobiet do wnętrza komór. W ten sposób napelniają się po brzegi komory egzekucyjne a wówczas hermetycznie zamykają się drzwi i zaczyna się powolne duszenie ludzi parą wodną, wydostającą się przez liczne otwory z rur. Na początku dochodzą z wnętrza przytłumione krzyki, które powoli cichną.

Teraz następuje kolej na grabarzy. Z krzykiem i przekleństwami zapędzają ich dozorczy niemieccy do pracy, która polega na wydostaniu trupów z wnętrza komór egzekucyjnych. Grabarze stają przy rampie nawprost kłapy. Kłapy się otwierają, ale żaden trup nie wydostaje się na zewnątrz. Pod wpływem pary wodnej utworzyła się z wszystkich trupów jakby jednolita masa, zlepiąca potem pomordowanych ofiar. W przedziernych bólach spłoty się w makabryczny sposób w wielkie kłębowisko ręce, głowy, tułowia. Ażeby umożliwić grabarzom wyciąganie pojedynczych trupów oblewa się tę masę kublami zimnej wody z pobliskiej studni. Wówczas następuje odlepienie się jednego trupa od drugiego, i łatwiej je wydostać. Naogół trupy nie są zmienione, jeżeli chodzi o wygląd zewnętrzny, tylko głowa i pośladki są koloru fioletowego. Grabarze, ciągle bici i poganiani przez Niemców, kładą trupy na rampie, póki komory nie zostaną opróżnione. Leży to wszystko, jak mięso bydła rzeźnego. Teraz następuje grzebanie trupów”. (...)

ECHO Z KATAKUMB

(...) Autor [cytowanej broszury] sam nie jest, jak się zdaje, ze swego urobienia tzw. „filosemitą”. Jego sprostowanie na rzeczy jest zrazu bardzo — „aryjskie”.

Ale zapiska z dn. 27 sierpnia formuluje już stanowisko jednoznaczne (...): „Świat milczy. Świat wie, co się tu dzieje — nie może być inaczej — i milczy. Milczy w Watykanie namiestnik Boga, milczą w Londynie, w Waszyngtonie obrońcy dobrej sprawy, milczą Żydzi Europy i Ameryki. Przeraza to milczenie i zdumiewa. Przecież Niemcy będą kiedyś próbowali wyprzeć się wszystkiego, a gdy oczywistość im nie pozwoli, wtedy będą próbowali o własne zbrodnie oskarżyć Polaków, Litwinów, Ukraińców, Łotyszów! Mniejsza o przyszłość,

ale teraz jeszcze może znalazłby się język, który Niemiec potrafiłby zrozumieć, a który krzyknąłby mu: »Dość!«. Język siły i kary. Tymczasem głos protestu odzywa się nie ze swobody, lecz stamtąd, gdzie przemawiać najtrudniej, z dna niewoli. Wszystkie organizacje niepodległościowe, wojskowe, ideowe, stając ponad dzielącymi je różnicami, przewyciężając jad niemieckiej propagandy i własne, bardzo głębokie nieraz uprzedzenia, zastrzeżenia, niechęci — zjednoczyły się w potępieniu niemieckiego barbarzyństwa. Czytałem w tajemnym piśmku enuncjację Polski podziemnej”.

Nie wiem, o jakiej enuncjacji mówi tutaj pamiętnikarz. Być może (...) o wstrząsającym proteście, który podpisała organizacja konspiracyjna Front Odrodzenia Polski [chodzi o protest autorstwa Zofii Kossak-Szczuckiej]. Główna część tego protestu brzmi:

„Milczenia dłużej tolerować nie można. Jakikolwiek są jego pobudki, jest to nikczemne. Wobec zbrodni nie wolno pozostać biernym. Kto milczy w obliczu mordy — staje się współnikiem mordercy. Kto nie potępia — ten przyzwala.

Zabieramy przeto głos my, katolicy-Polacy. Nie chcemy być Pilatami. Nie mamy możliwości czynnie przeciwdziałać morderstwom niemieckim, nie możemy nic poradzić, nikogo uratować, lecz protestujemy z głębi serca przejętego litością, oburzeniem i zgrozą. Protestu tego domaga się od nas Bóg — Bóg, który nie pozwolił zabijać. Domaga się sumienie chrześcijańskie. Każda istota zważa się człowiekiem ma prawo do miłości bliźniego. Krew bezbronnych woła o pomstę do nieba. Kto z nami tego protestu nie popiera — nie jest katolikiem.

Protestujemy równocześnie jako Polacy. Nie wierzymy, by Polska odnieść mogła korzyść z okrucieństw niemieckich. Przeciwnie. W zabiegach propagandy niemieckiej, usiłującej już teraz rzucić odium za rzeź Żydów na Ukraińców i... Polaków, wyczuwamy planowanie wrogiej dla nas akcji.

Wiemy również, jak trujący bywa posiew zbrodni. Przymusowe uczestnictwo narodu polskiego w krwawym widowisku, spełniającem się na ziemiach polskich, może nadto wyhodować zobojętnienie na krzywdę, sadyzm i ponad wszystko groźne przekonanie, że wolno bliźniego mordować bezkarnie. Kto tego nie rozumie, kto dumną, wolną przyszłość Polski śmiałyby łączyć z nikczemną radością z nieszczęścia bliźniego — nie jest ani katolikiem, ani Polakiem”.



• Żydzi wyciągnięci z kryjówek podczas powstania w getcie. Zdjęcie z raportu Jürgena Stroopa FOT. IPN

Nie umiem czytać tych słów bez wzruszenia. Zawiera się w nich czynna miłość i prawy rozum. Jest w nich patos moralnego wstrząsu i praktyczna trzeźwość polityczna. Najprościej wyrażono w nich całą piękność duszy chrześcijańskiej i wszystkich najczystszy idealizm polski. (...)

EPILOG TRAGEDJI

(...) Ghetto warszawskie, choć z kataklizmu roku poprzedniego [1942] wyszło dosłownie zdziesiątkowane, było jeszcze ciągle największym skupieniem wśród tych kilkudziesięciu miejsc oczekiwania. Stanowiło podobnie, jak „obóz pracy” w Trawnikach, jak obóz (...) w Majdanku — najciemniejsze obozowisko niewolników. Obdarowani wątpliwą łaską życia, pracowali po 12 godzin dziennie, za dwie porcje zupy i kawałek chleba. (...)

Ścisłe, bezlitosne tryby tego systemu w niespełna pół roku wyżyły z krwi, z wszelkiej wartości roboczej 40 000 pogrobowców getta. Oni także, nie ludzie, ale upiory dojrżeli — do wytepienia. Ale na ten zamach odpowiedzieli w sposób niespodziewany, nie mieszczący się w poprzednich perypetyjach dramatu. Odpowiedzieli oporem zbrojnym. Ostatni z pół miliona wytraconych postanowili walczyć. (...)

Tuż przed świętami Wielkiej Nocy, w Wielki Poniedziałek, dn. 19 kwietnia, o świcie, Niemcy uderzyli zorganizowaną siłą w ten ośrodek oporu. (...) Przez bramę

wjazdową wjechały w ulice getta opancerzone wozy z karabinami maszynowymi i wkroczyły oddziały szturmowe.

To pierwsze natarcie załamało się po kilku godzinach. Niemcy wycofali się na granice getta i zaciągnęli regularne oblężenie wokół miasta w mieście, wokół więzienia, które sami wytyczyli, sami obrzeczyli murami. Weszły teraz do działania czołgi, samoloty i artylerja. Noc w noc padała na ghetto ulewa pocisków armatnich, noc w noc stała nad niem luna, bijąca od domów, bloków i ulic, planowo podpalanych przez bomby zapalające i miotacze ognia. (...)

Po tygodniu zwarty opór Żydów osłabł. Ale trwał, tlił się ciągle. Przybrał charakter zajadłej gerylasówki [od hiszpańskiego słowa „guerilla” – partyzantka], toczonej nie wśród skał i drzew, ale wśród dymiących ruin i wulkanicznych rozpadlin. Zamierał powoli, stygl w miarę jak stygły zgłiszcza i popioły. Trudno powiedzieć, kiedy ustał całkiem. Za jego kres należy uznać połowę maja br. W tym czasie Niemcy uderzyli także na „ghetto male” (Żelazna – Ceglana – Prosta) i wywieźli na śmierć ostatnie 10 000 ludzi. Ghetto warszawskie przestało istnieć.

Cokolwiek jeszcze odsłoni się z prawdy tych dni, nie ulegnie bodaj zmianie ich wydzwięk zasadniczy. Przez walkę, ghetto wróciło z mroku najciemniejszego średniowiecza w obręb historii XX w. — wieku pogardy, ale może i wieku nadziei. Przez walkę, ghetto rozłamało mury, weszło do polskiej, europejskiej i chrześcijańskiej

wspólnoty, stało się uczestnikiem jedności walczącej. (...)

MODLITWA NA GRUZACH GHETTA

Były czasy, gdy dziadowie i ojcowie nasi wierzyli i my wierzyliśmy za nimi, że cywilizacja europejska, mimo wszystkie współzawodniczenia, wszystkie wiekowe spory o miedzę, wszystkie nieobskawione przez dwa tysiące uprawy chrześcijańskiej zwierzęce instynkty — stanowi jedność. Modliliśmy się wtedy — jak Ernest Renan w „Prière sur l’Acropole” — na gruzach, które poprzez wieki mówiły głosem niewysłowionej urody i nieśmiertelnym wezwaniem do doskonałości.

Dziś wiemy, że przez dwa tysiące lat rosło pośrodku kontynentu obce i wrogie plemię germańskie, nienawistne wszystkiemu co było i jest cywilizacją europejską. Dziś możemy się modlić tylko na mnożących się ruinach miast Europy.

Modlę się na gruzach getta w Warszawie. Za Hannę i jej córkę Jolantę, urodzoną z ojca aryjczyka, za Irenę i jej syna Piotra, urodzonego z ojca aryjczyka, za mego chrzestnego syna Pawła, urodzonego z ojca Żyda i matki aryjki, za Henrykę, urodzoną z matki Żydówki i ojca Żyda, która kochała moją mowę jako swoją i pisała w niej wiersze czystej piękności, za innych znajomych mi i bliskich, za tysiące, dziesiątki tysięcy, setki tysięcy, nieznanymi i obcych. Wspominając ich, modlę się o to, Boże chrześcijański, abys pozwolił niczego nie zapomnieć i niczego, niczego nie przebaczyć z godzin ich upodlenia, strachu i męki. Modlę się, abys mi dał łaskę trudnej nienawiści. Łaskę nienawiści nie człowieka, za jego ojca albo matkę, za jego rasę lub narodowość, za wiarę lub język, w którym się modli, kocha i składa wiersze, za barwę włosów i zarys czaszki, za słabość lub za siłę. Ale łaskę nienawiści zła w człowieku bez względu na jego ojca i matkę, rasę i narodowość, wiarę jego i język, w którym się modli, kocha i składa wiersze, bez względu na to, czy jest słaby czy silny — łaskę wiernej, cierplivej nienawiści, beznadziejnej, ale koniecznej, jeśli już nigdy nie masz odwrócić od nas twarzy Twojej, Boże chrześcijański.

Taka jest w te dni modlitwa na gruzach getta Warszawy. Modlitwa samotnego człowieka. Modlitwa samotnego chrześcijanina. ●

Cały tekst wraz z głosami czytelników na Wyborcza.pl

Kim był autor „Alle Juden raus!”...

Prof. Anna Kuligowska-Korzeniewska o Tymonie Terleckim

Przed wojną Tymon Terlecki (1905–2000), absolwent lwowskiego Uniwersytetu Jana Kazimierza, był wykładowcą w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej. W Warszawie znalazł się w 1934 r. z inicjatywy Leona Schillera, który powierzył mu wykłady z historii teatru oraz redakcję prestiżowego czasopisma „Scena Polska”. Terlecki odplacił się swemu protektorowi, chwając jego najbardziej kontrowersyjne przedstawienia. Był członkiem zarządu Związku Literatów Polskich. Wraz z Kazimierzem Wierzyńskim prowadził kampanię przeciwko antysemityzmowi niektórych poetów, którzy nawoływali do wykluczenia Józefa Wittlina, Juliana Tuwima i innych z kultury polskiej.

Wybuch wojny zastał Terleckiego we Francji. W obozie nowo powstającego Wojska Polskiego w Coëtquidan otrzymał funkcję szefa Wydziału Oświaty i za-

łożył tygodnik „Polska Walcząca”. Po ewakuacji do Anglii dalej prowadził „Polską Walcząca” — aż do końca 1948 r. Ów „Tygodnik Gromady Żołnierskiej” oraz „Żołnierz Polski na Obczyźnie” podlegał Wydziałowi Propagandy i Oświaty Sztabu Naczelnego Wodza. Terlecki współpracował także z „Wiadomościami Polskimi, Politycznymi i Literackimi”, redagowanymi przez Mieczysława Grydzewskiego, w których w listopadzie 1943 r. ukazał się powyższy artykuł.

Bibliografia artykułów Terleckiego z lat 1939–45 zawiera około 200 pozycji. Są to doniesienia z frontów oraz eseje literackie i teatralne. Odnótowywał straty kultury polskiej, planował angielskojęzyczną książkę o powstańczej Warszawie. Po wojnie pozostał w Anglii, był m.in. przewodniczącym Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, współtworzył Polski Ruch Wolności-



FOT. ALEKSANDER JANTA ARCHIVE / WIKIPEDIA

wo „Niepodległość i Demokracja” (NiD).

Broszurkę, której treść omówił w 1943 r., wydało — z inicjatywy Aleksandra Kamińskiego — Biuro Informacji i Propagandy Komendy Głównej Armii Krajowej. W 1967 r. fragmenty raportu autorstwa M.B. ogłosił na łamach warszawskiego „Świata” Władysław Bartoszewski. Dzięki temu udało się zidentyfikować je-

go autora: Antoniego Szymanowskiego, który pracował w getcie i miał wstęp nawet na Umschlagplatz.

Poruszające reakcje czytelników „Wiadomości Polskich...” każyły mi przypomnieć esej „Alle Juden raus!”... Dr Jerzy Timoszewicz, biograf Terleckiego, w liście wysłanym do Anglii 6 kwietnia 1986 r. napisał: „Zakończenie »Alle Juden raus!«... jest arcydziełem godnym tablicy marmurowej, a cały tekst pozostanie na kartach tej literatury, która ratuje nasz honor w tej ponurej tragedii, gdzie — mimo wszystko — mamy plamy, głównie co prawda przedwojenne, na rękach”.

W 1994 r., po śmierci mego Męża Bohdana Korzeniewskiego, odwiedziłam w Oksfordzie jego przyjaciela, 89-letniego Tymona Terleckiego. Udało mi się wówczas nagrać i opublikować kilka rozmów z nim, m.in. o teatrze emigracyjnym i Leonie

Schillerze. O broszurę z 1942 r. o likwidacji getta i jej omówienie w „Wiadomościach Polskich...” Terleckiego nie zagadnęłam. Nie mogę odżalować tej straconej okazji. Bo także jestem najgłębiej przekonana, że za „Modlitwę na gruzach getta” jej autor zasługuje na „tablicę marmurową”.

W liście do Wierzyńskiego w 1948 r. Terlecki przyznał: „Chcę być wewnątrz życia. Chcę być wobec sądu pod sądny, nie statystą, widzem, świadkiem. Chcę móc powiedzieć: robiłem, com mógł, ale to było za mało, sądzicie i potępicie”. ●

Prof. dr hab. Anna Kuligowska-Korzeniewska — historyk teatru, wykładowca Uniwersytetu Łódzkiego i Akademii Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie, członek redakcji czasopism „Tygiel Kultury” i „Pamiętnik Teatralny”, autorka książki o teatrze polskim i żydowskim.

Temat z okładki

DRUGA WOJNA KRYMSKA

Przed gabinetem Putina wisi portret Mikołaja I. Przesłanie jest wyraźne: „żandarm Europy” w 1855 r. nie przegrał wojny krymskiej. Była ona moralnym i religijnym zwycięstwem, a Rosjanie powinni szanować cara za to, że wystąpił wtedy przeciw Zachodowi.

Adam Krzemiński

R

Rosjanie, wycofując się w październiku 2022 r. z okupowanego Chersonia, wśród „łupów” wywieźli także z miejscowej katedry szczątki księcia Potiomkina. Po diabła je zabrali?! – zastanawiali się Anne Applebaum oraz Jeffrey Goldberg, naczelny „The Atlantic”. Aby Putin położył sobie na biurku „imperską” relikwię? Czy by ulokować ją na tym kawałku Noworosji, który po wojnie uda mu się zatrzymać? Ta czaszka już się jednak nie uśmiechnie. Nie wygląda na to, by Putin z drugiej wojny krymskiej wyszedł jako tryumfator.

PLAN LORDA PALMERSTONA

Nie pierwszy raz metafizyczna buta „imperii” ściga Rosję Putina na krawędź katastrofy. Podobnie było 170 lat temu. W maju 1853 r. Mikołaj I – ten „żandarm Europy”, który w 1831 r. zdławił powstanie listopadowe, a w 1849 r. węgierskie – zażądał od Turcji, by uznała go za protektora chrześcijańskich poddanych sultana, co pozwoliłoby Rosji ingerować w wewnętrzne sprawy Turcji. Sultán odmówił, a Turcję wsparły Anglia i Francja, wysyłając okręty, by zablokować cieśninę z Morza Czarnego.

Na początku lipca 1853 r. znany nam i Węgrom feldmarszałek Iwan Paskiewicz wkroczył do zależnych od Turcji naddunajskich księstw Mołdawii i Wołoszczyzny. Oczekiwał entuzjastycznego przyjęcia przez tamtejszych chrześcijan, ale go nie było. Za to w październiku Turcja wypowiedziała Rosji wojnę. Jednak tureckie kontrofensywy w Mołdawii i na Zakaukaziu utknęły. A gdy w listopadzie Rosjanie

zniszczyli w Synopie turecką flotę wojenną, Anglia i Francja, nie chcąc dopuścić do załamania się Turcji, zawarły z nią w marcu 1854 r. sojusz, po czym także wypowiedziały Rosji wojnę.

Lord Palmerston, brytyjski minister spraw wewnętrznych, z miejsca przedstawił rządowi plan rozbioru Imperium Rosyjskiego i nową mapę Europy: Finlandia i Wyspy Alandzkie wracalyby do Szwecji; nadbałtyckie prowincje bylyby przekazane Prusom; Polska – to ślad dyplomatyki księcia Adama Czartoryskiego – powstałaby jako niezależne królestwo i państwo europejskie buforowe wobec Rosji; Austria zyskałaby księstwa naddunajskie i Besarabię, oddając północne Włochy; Krym i Gruzja przypadłyby Turcji; Czerkiesi uzyskaliby niepodległość pod ochroną Turcji.

Plan przewidywał wielką europejską wojnę przeciwko Rosji, z udziałem Austrii i Prus, a najlepiej także Szwecji. Został przyjęty sceptycznie. Niemniej europejska wojna z Rosją wybuchła i zmieniła układ sił na kontynencie.

PAPIEROWE IMPERIUM

Przy miażdżącej przewadze technicznej Zachodu była nieudolnie prowadzona przez obie strony. W brytyjskiej pamięci utrwaliła się fatalna szarża lekkiej brygady pod rosyjskim ogniem artyleryjskim. We francuskiej – zdobycie Sewastopola po niemal rocznym oblężeniu. A w rosyjskiej – pozostały gorzkie zapiski Lwa Tolstoja o korupcji i bezhołowności w rosyjskiej armii.

Niemniej wojna krymska była pierwszą wojną techniczną – okręty parowe, podwodny kabel, tor kolejowy zbudowany przez aliantów z portu do obozu, ich karabiny iglicowe o donośności 1200 m (podczas gdy Rosjanie celnie strzelali jak za Napoleona najwyżej na 300 m), telegraf przyspieszył komunikację wojskową i niezależną informację prasową, dagerotyp wzbogacił przekaz o fotografie z pola walki.

Wojna toczyła się także na Kaukazie, Bałtyku, Morzu Białym oraz na Dalekim Wschodzie u ujścia Amuru. Decydujące było jednak zdobycie Sewastopola 11 września 1855 r. przez Francuzów, które przypięczętowało klęskę Rosji, choć wojna ciągnęła się jeszcze kilka miesięcy, a lord Palmerston rozważał nawet zbombardowanie Petersburga.

Ale o ile w 1854 r. miał poparcie prasy, o tyle teraz nastroje na Zachodzie się odwróciły. We Francji Napoleon III był już



• „Bombardowanie Sewastopola”, obraz Johna Wilsona Carmichaela z 1858 r.

FOT. NATIONAL MARITIME MUSEUM/DOMENA PUBLICZNA

bardziej zainteresowany jednoczeniem Włoch przez Piemont niż kontynuowaniem wojny krymskiej, która po stronie francuskiej pochłonęła około 100 tys. ofiar, po tureckiej – 50 tys., brytyjskiej – 20 tys., oraz ponad pół miliona – także ludności cywilnej – po stronie rosyjskiej.

Mimo że zakończyła się zwycięstwem sojuszników, na Zachodzie zaczęła być uważana za wstydliwą „wojnę niepotrzebną”. Natomiast w Rosji wstrząsnęła posadami caratu. Ujawniła przepaść cywilizacyjną dzielącą ją od Zachodu – zacofanie techniczne, feudalne relacje w armii składającej się z niepiśmiennych chłopów i korupcję arystokratycznego korpusu oficerów dbających głównie o musztrę i dobre kontakty na dworze.

Car zmarł jeszcze przed upadkiem Sewastopola. Niby na zapalenie płuc, ale do dziś krąży wersja, że w depresji popełnił samobójstwo. W każdym razie nie dożył upokarzającej likwidacji Floty Czarnomorskiej na mocy zawartego w 1856 r. traktatu paryskiego, w którym wszakże zapomniano o wspieranej przez Palmerstona sprawie polskiej. Co prawda także Napoleon III obiecał Czartoryskiemu jej poparcie, ale kategoryczny sprzeciw Rosji sprawił, że pozostano przy „kwestiach orientalnych”.

KONIEC STAREGO ŚWIATA

Wojna krymska – pisze Heinrich August Winkler w swej „Historii Zachodu” (2009–15) – była cezurą w dziejach XIX-wiecznej Europy. Rządy wysyłały wojska na wojnę ideologiczną, uzasadnianą najwyższymi interesami narodowymi, choć nie chodziło w niej o bezpośrednią obronę ojczyzny. Wojna na odległym Krymie była konfliktem między zachodnią wolnością a wschodnią opresją. Gdyby przystąpiły do niej także Prusy i Austria, pewnie przekształciłyby się w tę „powszechną wojnę za wolność ludów”, o którą w 1832 r. w „Księgach pielgrzymstwa polskiego” modlił się Mickiewicz i do której w czasie Wiosny Ludów wzywała lewica.

Prusy zachowały jednak neutralność, a Austria – powściągliwość, choć przychylną sojusznikiem w sprawach bałkańskich.

Amerykanie trzymali z Rosją przeciw Wielkiej Brytanii, ale ich pomoc w rozbudowie rosyjskiej kolei przyszła za późno, by wpłynąć na wynik wojny.

Po klęsce Rosja została wyparta ze spraw europejskich, ale zachowała status mocarstwa. Zrezygnowała z roli na ubocznym teatrze wojny, nad Amurem i na Kamczatce, więc po wojnie nie tylko wzmocniła swą dominację na Kaukazie, lecz także rozpoczęła podbój Azji Środkowej. Natomiast niby-zwycięska Wielka Brytania musiała się pogodzić z ciągiem dalszym zmagania brytyjskiego „wieloryba” z rosyjskim „niedźwiedziem”, tyle że nie na terenie imperium osmańskiego, ale w Persji, Afganistanie i Chinach.

Francji ani Anglii nie udało się odbudować niepodległej Polski, choć częściowo na nowo narysowały mapę Europy. W 1856 r. w Paryżu przekreślony został ład ustalony po kongresie wiedeńskim (1815), w którym Rosja odgrywała kluczową rolę, a Francja – podrzędną. Teraz to cesarz Francji Napoleon III wyrósł na arbitra Europy, wspierając jednocześnie Włoch przez Cavoura i Garibaldię. Dopiero klęska Francji w wojnie z Prusami w 1871 r. umożliwiła Rosji odbudowę Floty Czarnomorskiej. Tymczasem Turcja – zależna od aliantów – stała się bardziej niż kiedykolwiek podmiotem europejskiego koncertu mocarstw.

W wyniku wojny krymskiej rozpadł się też sojusz trzech czarnych orłów – beneficjentów rozbiórów dawnej Rzeczypospolitej. Austria była przez Rosję postrzegana już nie jako mocarstwo przyjazne, lecz konkurencyjne na Bałkanach. Skorzystały na tym neutralne Prusy, będące po 1856 r. dla Rosji mocarstwem, z którym warto utrzymywać przyjazne stosunki, czego przejawem była konwencja Alvenslebena blokująca zachodnią pomoc dla powstania styczniowego. Ale ten sojusz nie miał już strategicznej siły i pod koniec XIX w. także się rozpadł.

TYŁEM DO ZACHODU

Wojna krymska – ciągnie Winkler – wpłynęła na bieg historii. Bez niej zapewne nie doszłoby do zjednoczenia Włoch

ani do zjednoczeniowych wojen Bismarcka najpierw z Austrią, a potem z Francją. Rosja nie byłaby zmuszona po klęsce do chaotycznej modernizacji podjętej przez cara reformatora Aleksandra II ani do skierowania ekspansji na Wschód. Naskórkowej westernizacji kraju, reformom – zniesieniu pańszczyzny, industrializacji, rozbudowie szkolnictwa powszechnego i kolei – towarzyszyły jednak wyraźnie antyzachodnie emocje aparatu państwowego, szlachty i dużej części inteligencji.

Niekonsekwentne reformy powodowały bunt chłopów, pogromy i zamachy terrorystyczne radykalnych narodników. W 1881 r. bomba Ignacego Hryniewieckiego, polskiego członka Narodnej Woli, rozerwała cara reformatora. Jego despotyczny następca Aleksander III ograniczył „nazbyt liberalne” reformy i odsunął Rosję od utworzonego w 1871 r. przez Bismarcka Cesarstwa Niemieckiego. Nie dożył ani klęski w wojnie z Japonią w 1905 r., ani rewolucji 1917 r., ale swym despotyzmem przyczynił się do upadku caratu nie mniej niż jego następca Mikołaj II.

Upokorzenie klęską w wojnie krymskiej odbiło się w Rosji poczuciem niechęci do Zachodu. Tytady Putina o zachodnich „podwójnych standardach” i „hipokryzji”, o „rusofobii” i „braku szacunku” dla Rosji sięgają do tamtego słownictwa. Na „rusofobię” Zachodu uskarżał się w 1867 r. Fiodor Tiutczew. Pismo „Russkij Mir” – „rosyjski świat”, do czego dziś odwołuje się Putin – było organem słowianofilów z Fiodorem Dostojewskim na czele, pomstującym na kapitalizm, socjalizm, katolicyzm i protestantyzm. „Europa – pisał inny ideolog słowianofilów Nikołaj Danilewski – jest nam nie tylko obca, ale wręcz wroga; jej interesy nie mogą być tożsame z naszymi, toteż przeważnie będą sprzeczne z naszymi”.

Z kolei wokół liberalnego „Sowremiennika” Nikołaja Czernyszewskiego grupowali się zapadnicy z Lwem Tolstojem, który opracował program modernizacji armii i planował powieść o wojnie krymskiej, by jednak w „Wojnie i pokoju” cofnąć się do bezpiecznych, bo zwycięskich, wojen napoleońskich, które w drugiej połowie XIX w. stały się ikoną tryumfu Rosji nad Zachodem, tak jak w propagandzie Putina jest nią zwycięstwo Stalina nad Hitlerem.

Orlando Figes kończy swą historię wojny krymskiej uwagą, że 150 lat po pokoju paryskim Putin polecił powiesić portret Mikołaja I przed wejściem do swojego gabinetu. Przesłanie jest wyraźne: „zandarm Europy” nie przegrał. Wojna krymska była moralnym i religijnym zwycięstwem, narodowym aktem poświęcenia; Rosjanie powinni szanować autorytarnego cara, wyśmiewanego przez liberalną inteligencję, za to, że wystąpił przeciwko Zachodowi w obronie interesów kraju...

Z tej perspektywy bandycki najazd rosyjskich zielonych ludzików na Krym w 2014 r. oraz wspieraną przez Moskwę zbrojną secesję wschodniej Ukrainy rozszerzoną w 2022 r. w „specjalną operację wojskową” wymierzoną w istnienie Ukrainy jako państwa całkiem zasadnie można nazwać drugą wojną krymską.

ODWETOWIEC

Co prawda włoski filozof Angelo Bolaffi najazd na Ukrainę uznaje za spóźnioną reakcję Rosji na rozpad radzieckiego imperium. Jednak tak jak w XIX w. Krym był sercem „ostatniej krucjaty”, poniekąd religijnej wojny Rosji z Turcją i Zachodem o dominację w Europie Południowo-Wschodniej i na Bliskim Wschodzie, tak i w obecnej wojnie Krym jest sercem ideologicznej wojny Kremła z zachodnimi wartościami i normami prawnymi. Wartościami, przypomnijmy, pod którymi w 1991 r. w niepodległościowym referendum podpisała się większość obywateli Ukrainy – także rosyjskojęzycznych na Krymie – i które Rosja w 1994 r. zaakceptowała w protokole budapeszteńskim.

Michael Thumann, korespondent tygodnika „Die Zeit”, ogłada Rosję czasu

wojny na żywo, ale z Putinem spotykał się pierwszy raz już w 1999 r. Nowy prezydent nie budził zaufania. Mówił o współpracy z Zachodem, ale nieporadnie. Miał już na sumieniu wojnę w Czeczenii, trudno jednak było sobie wyobrazić, że bez mała ćwierć wieku później zagrozi światu katastrofą nuklearną. Wszystkich zaskoczył. Nie tylko kanclerz Gerhard Schröder zaświadczał Thumannowi, że Putin jest „krystalicznym demokratą”. Także prezydent George Bush jr rozpywał się po 11 września 2001 r., że ujrzał w oczach Putina człowieka. Prezydent Rosji akcentował wówczas solidarność z Ameryką, a w Bundestagu przyznał się do Niemców. Nie tylko były kanclerz Helmut Schmidt twierdził, że Putin „ma realistyczny obraz świata” i trzeba z nim współpracować, bo to szansa dla Niemiec...

To była zła droga – pisze Thumann w swej książce „Odwet. Jak Putin stworzył najniebezpieczniejszy reżim na świecie” (2023). Niemiecy politycy pomogli prezydentowi Rosji, który okazał się zadajdym odwetowcem. Tego słowa trzeba posmakować. W końcu przez dziesięciolecia dla połowy Europy rewanzystami byli zachodni Niemcy łąkający ponoć odwetu za przegraną wojnę. Teraz niemiecki komentator tą etykietą opatruje prezydenta Rosji. I ma rację.

CHCIAŁ WOJNY I JĄ MA

To jest wojna Putina. Niezależnie od tego, jacy siłowicy za nim stoją i jakie ma poparcie w społeczeństwie otumanionym przez propagandę, imperialną nostalgii i terror nowych opryczników. Dziś nie ma co się zastanawiać, czy było dwóch Putinów – ten pierwszy pro- i ten drugi antyzachodni. On tej wojny chciał i ją ma. Sprowokowana przez tajne służby druga wojna czeczeńska pomogła mu wygrać wybory w 1999 r., aneksja Krymu w 2014 r. – odzyskać notowania, a zagarnięcie Ukrainy w 2022 r. miało być wianem na następną kadencję.

Putin, pisze Thumann, to pośmiertna zemsta autorów nieudanego puczu z 1991 r. – wiceprezydenta Giennadija Janajewa i generała KGB Władimira Kriuczkowa. Zamachowcy internowali Michaiła Gorbaczowa, ale przegrali z Borysem Jelcynem, odważnymi moskwanami i tymi oficerami, którzy odmówili strzelania do tłumu. Putin migał się, po której stanać stronie, ale z czasem krok po kroku zrealizował zamiary zamachowców. Toteż Thumann zdecydowanie odrzuca długo powtarzaną w Niemczech tezę, że należy pomóc Putinowi wyjść z tej wojny z twarzą, bo jego ewentualni następcy będą jeszcze gorsi. Nieprawda: Putin to najgorsze, co mogło spotkać Rosję.

Po pierwsze, wraca do imperialnej obsesji i mści się na tych Rosjanach, którzy koniec imperium i lata 90. postrzegali jako wyzwolenie.

Po drugie, jego działanie nie jest reakcją na rzekome „okrażanie Rosji” przez Zachód. Nawet jeśli Zachód popełniał błędy – od wojny w Iraku po bałaganiarskie wyjście z Afganistanu w 2021 r. – to miały one, akcentuje Thumann, „niewielki wpływ na polityczną trajektorię Rosji”.

Putin zaatakował Ukrainę, dlatego że uwierzył w słabość Zachodu. Domniemanie, że działa w reakcji na potężniejsze od siebie siły, to przejaw arogancji i lekceważenia faktycznych motywacji Putina, któremu wystarcza imperialna tożsamość Rosji. Okrucieństwa, grabieże, niszczenie miast, aroganka ideologia i propaganda „to kontynuacja tradycji kolonialnej, imperialnej i sowieckiej, fatalnego historycznego bałaganu, który bierze się z wnętrza” – z brzucha „głębinnej”, głębokiej Rosji, jak tam się mówi.

I po trzecie, Putin to rosyjska twarz radykalnego nowego nacjonalizmu dominującego też w Turcji, na Węgrzech, w Polsce, we Włoszech, w Chinach, we Francji i w Brazylii, a w latach Donalda Trumpa (2017-21) obecnego także w USA. Ale tylko Putin pokazał, że nowy nacjonalizm prowadzi do wojny, a ustabilizowane przezeń państwo – do dyktatury. „Jeśli nacjonałiści nie

zostaną zawczasu odsunięci od rządu, to autorytarna przemoc w rodzinie w końcu przekształci się w przemoc zewnętrzną. Agresja wobec swoich przeradza się w agresję wobec sąsiadów” – pisze Thumann.

PO PUTINIE BĘDĄ ZGLISZCZA

Nacjonalizm to w Rosji program ogólny, a zarazem odstrasający przykład dla świata. Pod koniec pluralistycznych, na wpół demokratycznych lat 90. większość Rosjan uwierzyła, że trochę stabilizacji nie zaszkodzi. Zawarto pakt z Putinem, zamieniając wolność na ulotny dobrobyt. Wielu nie doceniło demokratycznych osiągnięć.

Potem Putin wziął za twarz media, rozbudował tajne służby i pozwolił na fałszowanie wyborów. Mimo to głosowały na niego miliony, współuczestnicząc w staczeniu się kraju w totalitarną dyktaturę i wojnę, która w istocie jest „zemstą na rosyjskim narodzie”.

Starcie z Ukrainą i Zachodem może być ostatnią wojną Putina, który faktycznie zerwał umowę społeczną z Rosjanami i ustanowił rządy strachu. Najlepsze umysły opuściły Rosję, nie wychodzą z niej żadne innowacje. Przemysł dusi się w warunkach gospodarki wojennej. Nadciąga koniec ery paliw kopalnych, a dochody Rosji maleją. Kraj uzależnia się od Chin. Wściekłość Putina na Ukrainę uderza w jego własny kraj. Rosja nie zniknie z mapy, ale „era odwetu” wchodzi w wielki finał, który może się dramatycznie przeciągać. Niemniej Putin ma zapewnione miejsce w historii: jako najbardziej krwiożerczy władca Rosji od czasów Józefa Stalina.

Z czasem – kończy Thumann – Rosjanie zadadzą sobie pytanie, jaką spuściznę pozostawi po sobie 70-letni władca, który obiecał im dobrobyt i stabilizację w zamian za ich wycofanie się z polityki. W przeciwieństwie do Piotra I, który założył i zreformował „imperium”, i Katarzyny II, która ją poszerzyła, a także w odróżnieniu od Aleksandra II, który zniósł pańszczyznę, a nawet od Stalina, który kosztem wielomilionowych zbrodni zbudował radziecki przemysł i dzięki koalicji z Anglosasami wygrał drugą wojnę światową, spuścizną po Putinie będą prawdopodobnie zgliszczka. Jego chęć zemsty na Zachodzie blokuje rozwój Rosji. Próba unicestwienia Ukrainy obraca się przeciwko Rosji.

Jeden z rozmówców Thumanna, ceniony także na Zachodzie politolog prof. Dmitrij Trienin, który poparł „specjalną operację”, zestawił jej przysięgający bilans:

- izolacja Rosji w ONZ i OBWE;
- wejście Finlandii i Szwecji do NATO;
- rozwianie szantażu nuklearnego, który nie spowodował masowych protestów antywojennych;
- niezdolność do szybkiego militarne-go rozwiązywania konfliktów na swoim przedpolu oraz spadek handlowej wartości broni rosyjskiej;



*To jest wojna Putina.
Niezależnie od tego,
jacy siłowicy
za nim stoją
i jakie ma poparcie
w społeczeństwie
otumanionym
przez propagandę,
imperialną nostalgii
i terror nowych opryczników*

- zniszczenie powiązań gospodarczych Rosji z Zachodem, a zwłaszcza uzależnienia zachodniej Europy od rosyjskiego gazu;
- szybki i nieodwracalny demontaż partnerstwa rosyjsko-niemieckiego;
- brak sojuszników – poza Białorusią – wśród państw poradzieckich.

Trienin widzi jednak światełko w tunelu. W piśmie wydawanym pod auspicjami MSZ „Rossija w Globalnej Politike” szkicował „światową większość” stojącą jakoby po stronie Rosji: Chiny, Indie, Turcja, Iran, Arabia Saudyjska, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Brazylia, RPA, Indonezja. Wprawdzie więzi Rosji z tymi krajami są zróżnicowane, a położenie kraju jest trudne, ale nie beznadziejne. W każdym razie nie ma odwrotu.

NOWA ŻELAZNA KURTYNA

Czy Rosjanie Putina obalą? Czy zbuntują się jak w 1905 r. po klęskach w wojnie japońskiej albo w lutym 1917 r., gdy Rosja była bliska przegrania wojny z Niemcami? Nic na to nie wskazuje. W 2022 r. niewielkie demonstracje przeciw brance do wojska zostały łatwo stłumione. Medialny dyskurs opanowali nacjonałiści, którzy wzywali do użycia broni atomowej i większej brutalności. Zatem Putinowi zagraża jedynie Putin.

Przegrana wojna, a co za tym idzie: faktyczne zwycięstwo wroga, zapowiada jednak wstrząs. W dziejach Rosji były takie wojny – choćby krymska, a potem rosyjsko-japońska. Doprowadziły do reform wewnętrznych i rozwoju Rosji. Były też inne zyski z porażek. Pokój brzeski w 1918 r. uratował bolszewików. Traktat ryski z 1921 r. zakończył nieudaną wojnę sowiecko-polską, ustabilizował zachodnią granicę powstającego ZSRR. Niezwykle wysoka cena zapłacona za sukces w wojnie fińskiej (1939-40) stała się pierwszym wkładem w zwycięstwo w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej. Jednak ci, którzy mają nadzieję na powtórkę z lat 1855-56, powinni zawsze pamiętać o tragedii z lat 1916-17.

Pozostaje opcja druga, wzdychał Trienin – „zamrożenie” działań wojennych wzdłuż linii frontu, co jednak oznaczałoby uznanie przez Moskwę niezdolności do realizacji deklaratywnych celów, „czyli moralną klęskę”. Ponadto byłoby tylko „wytnięciem przed prawdopodobnym wznowieniem działań wojennych przez wroga”. Niemniej taka opcja jest opracowywana.

I wariant trzeci – „opcja strategicznego sukcesu”: „przejście przez Rosję kontroli nad całą wschodnią, południową i środkową częścią sąsiedniego państwa. Zachodnia część Ukrainy w zasadzie nie może być włączona w rosyjską przestrzeń cywilizacyjną; stałaby się w niej ciałem obcym, źródłem niestabilności”. Co prawda Galicja i Wołyń stałyby się bastionem ukraińskiego ultranacjonalizmu i odskocznią dla zachodniej obecności i wpływów, ale ten przyróżek-twierdza nie będzie miał masy krytycznej, aby poważnie zagrozić Rosji.

„Ogólny sukces polityki rosyjskiej na kierunku ukraińskim zależeć będzie w decydującym stopniu od konsolidacji dorobku militarnego przez polityczną, gospodarczą i ideową integrację kontrolowanych terytoriów z Rosją. To będzie wymagało ogromnych zasobów i skoncentrowanych wysiłków przez wiele lat i niestety wielu poświęceń, ale strategicznie zakończy się zwycięstwem”.

Przekładając wywód Trienina na język historiografii, celem Moskwy był drugi po 2014 r. rozbiór Ukrainy. Jakikolwiek rozwiązanie konfliktu ukraińskiego – pisał rok temu – nie przyniesie stabilnego status quo w Europie Wschodniej. Presja na Rosję z Zachodu będzie kontynuowana w kilku kierunkach. Oprócz ukraińskiego, który pozostanie głównym punktem zapalnym, będą to kierunki białoruski, naddniestrzański, kaliningradzki i kaukaski. Aby przetrwać, Moskwa będzie musiała umocnić swoje pozycje na całym zachodnim froncie geopolitycznym – od Arktyki po Morze Czarne. Słowem – skryć się za nową żelazną kurtyną. Ale już bez Ukrainy i z dominującym chińskim sąsiadem w Azji... ●

W księgarni

WYZWOLENIE AMBASADORA

Gdy Romuald Spasowski dowiedział się o rzezi w kopalni Wujek, powiedział sobie: „Krwi robotniczej nie daruję...”.

Jarosław Bratkiewicz

W

„Wyrzekł się ojczyzny za judaszowe srebrniki” – tymi słowami „Dziennik Telewizyjny” w dziewięć dni po wprowadzeniu stanu wojennego poinformował o tym, że ambasador PRL w USA Romuald Spasowski poprosił o azyl w kraju urzędowania. „Przybierając pozę rzekomego patriotycznego kontestatora, płaci za azyl głoszeniem tez nieprzypadkowo zbieżnych z antypolskimi i antysocjalistycznymi opiniami swoich amerykańskich mocodawców” – dodano zgodnie z kanonem argumentacyjnym PRL-owskiej propagandy (ten toporny kanon i dzisiaj króluje w TVPiS).

W wydanych niedawno przez Universitas wspomnieniach Romuald Spasowski zwierza się, jak przez lata i dziesięciolecia kumulowały się w nim wątpliwości co do realnego socjalizmu i władzy ludowej oraz rozczarowania nimi, jak ciężła zależność Polski od Sowietów. Chociaż należy odnotować, że przez te dekady piął się też ku coraz wyższemu szczeblom kariery dyplomatycznej, czego uwiecznieniem było stanowisko wiceministra spraw zagranicznych. W tej randze w latach 70. odpowiadał za relacje PRL ze Stanami Zjednoczonymi i wydatnie przyczynił się do zintensyfikowania kontaktów dwustronnych na najwyższym szczeblu. Wpisywało się to w gierkowską politykę „otwarcia na Zachód”.

Spasowski z sympatią portretuje takich PRL-owskich rządców jak Edward Gierek, Franciszek Szlachcic czy Stefan Olszowski, którym przypisuje dążenie do określonego umiarkowania PRL od „bratnich porad” Kremla. Tyle że wszelkie „emancypacyjne” posunięcia władz PRL towarzyszyły radziec-



• Romuald Spasowski wita się z Ronaldem Reaganem w Białym Domu 22 grudnia 1981 r.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE RODZINY SPASOWSKICH

cy obserwowali argusowym wzrokiem i gdy wyczuwali „odchylenie”, natychmiast wzywali na konsultacje i besztali. Ponadto Szlachcic i Olszowski podlegali wpływom moczarskiego „patriotyzmu” (skądinąd bliskiego kamieniolomnemu patriotyzmowi PiS). A nie jest to najlepsza rekomendacja.

Nade wszystko zaś uwikłanie systemowe Polski w imperium sowieckie niepodobna było odwrócić intrygami partyjnymi i manewrami dyplomatycznymi. Ten stan rzeczy zmieniła mogła tylko rewolucyjna zmiana ustrojowa i geopolityczna. Wychowany w duchu marksizmu-leninizmu przez ojca, Władysława Spasowskiego (autora apologetycznej książki „ZSRR: rozbudowa nowego ustroju”, Warszawa 1936), Romuald Spasowski zacięciem rewolucyjnym się nie odznaczał. Raczej podporządkowywał się woli ojca, swego mentora.

Poczynania wojenne i powojenne Romualda Spasowskiego wyglądają tak, jakby przyświecały mu słowa Hannibala, który ojcu przysiągł, iż życie poświęci zniszczeniu Rzymu, śmiertelnego rywala Kartaginy. I przysięgi dotrzymał: *Iusurandum patri datum usque ad hanc diem ita servavi*. Młody zaś Spasowski poświęcił się umacnianiu władzy ludowej, głównie – z uwagi na inteligencję, wykształcenie i znajomość języków obcych – na niwie dyplomatycznej. Ale kiedy będąc ambasadorem w USA, dowiedział się o spowodowanej przez siły stanu wojennego rzezi w kopalni Wujek (16 grudnia 1981 r.), powiedział sobie: „Krwi robotniczej nie daruję...”.

Cóż, korespondowałoby to z kultuwowaną przez jego ojca egzaltacją ideologiczną w stosunku do klasy robotniczej. Jednak dzieje sowieckiej „dyktatury proletariatu” szybko ujawniły, że relacje między ludem roboczym a władzą robotniczą nierzadko przeistaczają się w konflikt. Na co dzień uwiadczały się praktyki niebywałego ucisku i wyzysku „ludu pracującego miast i wsi” przez „państwo robotników i chłopów”, czyli jego biurokrację (nomenklaturę).

Władysław Spasowski zamykał oczy na sygnały o ludobójczych czystkach w stalinowskim ZSRS i o niewolniczej pracy w gulagu: „interesują mnie idee, a nie ludzie” – jak sam deklarował. Ale jego syn Romuald musiał się już moralnie i intelektualnie zmierzyć w codzienności PRL z dylematem, kto w tej konfrontacji ludu z „państwem ludowym” godziwie ucieleśnia prawdę marksizmu. Dopóki pozostawał wysokiej rangi dostojnikiem, bezwiednie opowiadał się po stronie „władzy ludowej”, ciemnącej się robotników i strzelającej do nich. A tym samym jakby zgadzał się z sarkastyczną radą Bertolta Brechta (wysłowioną po antykomunistycznych wystąpieniach w Berlinie w 1953 r.), że skoro lud utracił zaufanie „władzy ludowej”, to najprościej byłoby ów lud rozwiązać i powołać nowy.

Niemniej Spasowski, kiedy ambasadorem w USA od 1978 r., uzewnętrzniał już pewien sceptycyzm wobec władz, które wysłały go na tę misję. I tym bardziej, zapewne przekraczając zakres instrukcji, otwierał się na oficjalnych rozmówców amerykańskich. Dostrzegła to część personelu ambasady, formalnie dyplomatycznego, ale wywodzącego się z innych resortów niż MSZ. W krytycznych grudniowych dniach 1981 r. wrogość między nimi a Spasowskim uwidoczniła się w sposób natarczywy. Była to jedna z bezpośrednich przyczyn, które pobudziły Spasowskiego do zerwania z PRL.

W wierności Romualda Spasowskiego słowu danemu ojcu wyosobliwia się jeden element – mistyczna zgola wiara Władysława Spasowskiego, że droga do „wyzwolenia człowieka” (takim tytułem opatrzył swoje opus magnum) wiedzie przez system sowiecki. Owładnięty tym aksjomatem, Spasowski senior zauroczył nim syna, który przez dziesięciolecia traktował przesłanie ojca z synowskim posłuszeństwem. Choć wykluczyć nie można, że była to dogodna wymówka w obliczu sprzeczności „real-

nego socjalizmu”, które niezbyt się chciało rozstrzygać we własnym sumieniu, a tym bardziej na gremium publicznym.

Nie zaskakuje zatem fakt, że w przypadku Romualda Spasowskiego fideizm marksistowsko-leninowski, który erodował wraz z kolejnymi przegibami linii partyjno-rządowej (1956, 1968, 1976, 1980) – a sam Spasowski gibał się wraz z nimi – przepoczwarzył się, po jego apostazji od komunizmu, w żarliwą wiarę katolicką. A jest to najmniej twórcze, zgola trywialne przeobrażenie, zamykające człowieka w tym samym błędnym kole prawd objawionych.

Najważniejsze jest jednak, że Romuald Spasowski spisał swoje wspomnienia z potrzeby szczerych wyznań. Co emanuje z całej jego narracji. Dramat grudniowej konfrontacji siłowej w Polsce ostatecznie rozkruszył w nim psychomentalny i doktrynerski gorset, w jaki zasznurował go umiłowany ojciec. Ambasador Spasowski zerwał z komunizmem, uświadomiwszy sobie, że „wyzwolenie człowieka”, które na modłę komunistyczną wieszczyl jego ojciec, w krajach Europy Wschodniej i Eurazji wskutek chropowatości i brutalizmu tamtejszych dziejów przeistacza się w despotyzm i zniewolenie mas. System zachodni zaś emancypuje jednostkowego człowieka – przez niego wyjawia swoją siłę materialną, polityczną, intelektualną i moralną. Stąd swą autobiografię wydaną w USA Spasowski – jak gdyby odzęgając się od komunistycznego uniwersalizmu ojca – zatytułował: „Wyzwolenie jednego człowieka”.

Pierwsze kroki wolnego człowieka Spasowski stawiał, opuszczając pod osłoną speculacji amerykańskich swoją rezydencję, następnie udając się na konferencję prasową, gdzie upublicznił swoje zerwanie z komunizmem, wreszcie spotykając się z prezydentem Ronaldem Reaganem w Białym Domu. Kiedy po rozmowie Reagan odprowadzał gościa i jego żonę Wandę, siąpił deszcz, więc prezydent – jak relacjonuje Spasowski – „objął Wandę prawą ręką, wziął parasol do lewej i zaczął powoli iść razem z nami. (...) Wziąłem go pod rękę i szliśmy we trójkę”. Symboliczna to scena – powrót polskiego wygnańca z wyboru do cywilizacji Zachodu.

Zauważmy, że ani Reagan, ani oficjele z Departamentu Stanu i FBI nie świdrowali podejrzliwym wzrokiem ewidentnego komucha, związanego ongiś ze służbami wojskowymi, nie zasypywali go publicznie podchwytliwymi i tendencyjnymi pytaniami: „kto za tym stoi?”, „pod czym wpływem?”, „komu to służy?”, nie kręcili z powątpiewaniem głowami. Niewątpliwie właściwe komórki amerykańskie przepętały Spasowskiego na okoliczność różnych spraw, ale na pewno czyniły to z kulturą i dobrą wiarą. W absolutnym kontraście do brutalnej i paranoicznej pragmatyki, jaką kierowali się sowieccy enkawudziści, gdy młody Spasowski, potajemnie przekroczywszy pod koniec 1939 r. granicę Trzeciej Rzeszy i ZSRS, usiłował wyjednać u Sowietów nadanie jemu i jego ojcu obywatelstwa sowieckiego.

„Spowiedź ambasadora” to książka uczciwa. Zawiera wgląd w wiele ciekawych, odkrywczych wręcz spraw z historii najnowszej. Jej narracja biegnie wartko i wciąga czytelnika. Słowem, otrzymaliśmy produkt dobrej roboty, wykonanej przez Mariusza M. Brymorę, który zredagował książkę, i przez wydawnictwo Universitas. ●

Romuald Spasowski. Spowiedź ambasadora



Redakcja
Mariusz M. Brymora

Universitas, 2022

Polecamy książkę

RZEKA WSPANIAŁA,
TYLKO LUDZIE PODLI

Żarliwość, z jaką polscy artyści opiekują Wisłę, jest odwrotnie proporcjonalna do troski, jaką królowej polskich rzek okazujemy na co dzień.

Andrzej Brzeziecki

To, że w Wisłę nie płynie zbyt czysta woda, wiemy wszyscy. Być może w ostatnich dekadach rzeka się trochę oczyściła, ale kąpiel w niej jest zdecydowanie odradzana. Bywało gorzej – za komuny mawiano, że w rzece płynie cała tablica Mendelejewa. Był czas, że w Wisłę woda była bardziej słona niż w Bałtyku! Jeszcze większym zagrożeniem niż zanieczyszczenia są wysokie temperatury, które prowadzą do śnięcia ryb.

WISŁA
JEST KOBIETĄ

Królową polskich rzek opisywali poeci i pisarze. Grafomani i ludzie naprawdę poważni – jak choćby Jan Kochanowski, Stefan Żeromski czy Krzysztof Kamil Baczyński.

Jak to jednak możliwe, że poeci mogli pisać, iż „W Wisłę się kocha, z Wisłą się nie swarzy/ Na niej, jak w własnej chacie gospodarzy”, a zarazem Polacy degradowali rzekę do roli kanału?

Odpowiedzi na to i wiele innych pytań szuka prof. Andrzej Chwalba w błyskotliwie napisanej biografii Wisły. Tak, biografii, bo krakowski historyk uważa, że „Wisła jest kobietą”, a więc ma osobowość, charakter, a nawet zmienne humory.

Gustownie pod względem graficznym wydana książka opisuje dzieje rzeki, a przy okazji ludzi i zwierząt nad nią i w niej żyjących. Prof. Chwalba, który ma talent do pisania o historii w sposób rzeczowy i atrakcyjny, przedstawia nam dzieje Wisły w porządku zarówno geograficznym, jak i chronologicznym. Dowiadujemy się, jak największa polska rzeka dawała ludziom życie i gwarantowała przetrwanie.

Odkrywamy źródła Wisły na południu kraju i jej bieg aż do Gdańska. Poznajemy jej dzieje od czasów Piastów po ostatnie lata. Spotykamy na stronach ludzi żyjących z Wisłą: rybaków, szyprow, retmanów, przedmioty związane z rzeką: łodzie, narzędzia, maszyny, oraz budowle, czyli zapory, młyny wodne i mosty. Odwiedzamy miasta i miasteczka – Kraków, Warszawę, Gdańsk, ale też Sandomierz, Płock, Toruń. Wspaniale opisany jest transport zboża w nowożytności, który przez jakiś czas był źródłem bogactwa polskiej szlachty.

Podróż korytem Wisły z prof. Chwalbą to wielka przygoda i ogromna przyjem-



• **Wodna Masa Krytyczna, coroczna impreza organizowana na Wisłę przez krakowskich artystów i miłośników miasta. W tle Zamek Królewski na Wawelu**

FOT. JAKUB PORZYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

ność. Tak jak wcześniej było nią zwiedzanie Festung Krakau będącej tematem poprzedniej książki profesora.

KAPRYŚNA DAMA

Wniosek z lektury jest jeden – Wisła więcej nam dała, niż nam zawdzięcza. Owszem, przez długi czas była kapryśną damą i potęgą nie do okiełznania, gdy wylewała, zmieniała koryto, ściągając na swe dno śmialków i roznosiła groźne choroby. Mimo tych niebezpieczeństw ludzie osiedlali się w pobliżu rzeki, bo była źródłem wielu bogactw. Jak jednak zaznacza prof. Chwalba, „nad Wisłą to nie to samo, co przy Wisłę”. Dziś możemy tego żałować, bo stare miasta zwrócone ku rzece mają swój wielki urok. W Polsce tylko Gdańsk poszedł tą drogą. Miało to jednak swoje uzasadnienie techniczne i ekonomiczne.

Równie ambiwalentnie w Polsce traktowano ludzi pracujących nad Wisłą. Z jednej strony łowione przez nich ryby były towarem bardzo pożądanym, a ich połów ściśle nadzorowany, z drugiej strony rybaków traktowano z pogardą. „Ich pozycja społeczna była niska, a wykonywaną przez nich profesję uważano za nieprzynoszącą chwały. Trudno sobie wyobrazić małżeństwo dziecka rybaka z dzieckiem złotnika, a szanujący się mieszczanin nawet nie myślał o karierze rybaka dla syna” – czytamy.

Wykształcona później grupa flisaków, prostych marynarzy rzecznych, była barwna i szkoda, że obecnie jest zapomniana. Flisacy stworzyli własną kulturę, a ich horyzonty były dalsze niż chłopów. „Ludzie rzeki” poznawali różne części kraju, w samym zaś Gdańsku mogli „do-

świadczyć spotkania z żeglarzami z wielu państw Europy”.

ZAMORDOWANY JESIOTR

Prawdę mówiąc, im gorzej wiodło się ludziom żyjącym nad Wisłą, tym lepiej dla rzeki. Po prostu władze – zaborcze czy już polskie, przedwojenne i komunistyczne – miały różne ambicje ujarznienia rzeki, ale na przeszkodzie stawał zazwyczaj brak pieniędzy i determinacji. Niestety, jak pisze autor, ani przed 100 laty, ani za komuny pomysły zamiany Wisły w kanał przemysłowy nie budziły protestów. Szczęście w nieszczęściu, że nikt rządzący Polską nie był w stanie ostatecznie uregulować biegu rzeki i uczynić z niej wybetonowanego kanału. Rzeka pozostawiona sama sobie ma się najlepiej.

Prof. Chwalba ma nadzieję, że rzeka „uzyska wsparcie obywatelskie i będzie się bronić przed tym, by ją przekształcono w przemysłowy ściek i kanał wodny”, ale „pojedynek o to, jaki będzie miała charakter Wisła i czy zachowa swój naturalny charakter, w dalszym ciągu trwa”.

Pewnych strat już się jednak nie odrobi. Od blisko wieku nie ma w Wisłę jesiotra – największej z łowionych w rzece ryb. Jego waga dochodziła do 100 kilogramów! Taką rybą mogła do syta najeść się cała wieś. Ale tamtego jesiotra nie ma już w Wisłę, tak jak tura w polskiej kniei. W zamian za to próbuje się sprowadzić jesiotry kanadyjskie.

Przykładów rabunkowego podejścia do Wisły znajdziemy w książce prof. Chwalby wiele. Szczęśliwie nie do tego tylko sprowadza się jej biografia. Wisła bowiem ma charakter – ale miała też znaczenie polityczne i strategiczne. Krzyżacy w średniowieczu chcieli zmienić bieg rzeki, tak by nie docie-

rała do Gdańska, i w efekcie miasto straciłoby rację bytu. Sforsowanie Wisły było często wyzwaniem dla wszelakich armii.

JAK TRWOGA, TO DO RZEKI

Polacy o Wisłę przypominali sobie, gdy byli w biedzie. Gdy stracili państwo, zaczęli śpiewać, że Polska nie zginie, póki Wisła płynie. O Wisłę w dobie niewoli pisali niemal wszyscy ważniejsi ludzie pióra w Polsce.

Dla zaborców tymczasem peryferyjna Wisła nie miała wielkiego znaczenia. Każdemu z nich dostał się tylko jej kawałek, co sprawiło, że nie widzieli w tym wodnym dukcie większego potencjału. Zresztą mieli większe rzeki u siebie. Jedynie Niemcy przywiązywali do Wisły jakąś wagę.

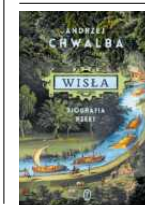
Wisła, przestając być łącznikiem poszczególnych części państwa, straciła status królowej polskich rzek. Jednocześnie, jak pisze prof. Chwalba, „degradacja znaczenia Wisły przez zaborców nie uszła uwadze polskich środowisk opiniotwórczych, które w odpowiedzi zapoczątkowały proces dowartościowania Wisły jako »polskiej«, narodowej arterii. Wisła, w której zaczęto dostrzegać nowe walory, jako polska rzeka, była też przydatnym argumentem za polskością Gdańska i ziem leżących na jej brzegach. Odgrzebano i nagłośniono legendę o Wandzie, która zamiast wyjść za Niemca, wolała utopić się w Wisłę”.

O polskim charakterze Wisły przekonany był, cytowany przez prof. Chwalbę, pisarz Karol Żbyszewski. Według niego tę rzekę, tak jak Polaków, cechują: rozmach nieoparty na środkach, zmienność, niekonsekwencja, historia. „Wisła wciąż zmienia swoje koryto, rzuca się tu, tam. Dzisiaj groźna, jutro bezsilna. Te zrywy wspaniałe i sromotne upadki. Wisła przybiera, szumi potęgą, po tygodniu ledwo szemrze, utyka co krok na mieliznach”.

Krakowski historyk wykonał wielką pracę, aby całkiem bogatą literaturę – od opracowań z dziedziny potamologii po literaturę piękną – na temat Wisły przedstawić w sposób rzetelny i atrakcyjny. Książka ponadto zobowiązuje Polaków do chwili refleksji nad rzeką, którą traktujemy jako oczywistość, więc o której potrzebach w ogóle nie myślimy. Wisła potrzebuje jednak naszej pomocy.

W te wakacje raczej się w niej nie wykąpiemy, za to możemy się zanurzyć w opowieści prof. Andrzeja Chwalby. Z pewnością z tej historycznej kąpieli wyjdziemy zdrowsi i mądrzejsi. ●

Wisła. Biografia rzeki



Andrzej Chwalba

Wydawnictwo Literackie,
2023

Wkrótce

Człowiek, który dokonał cudu

Od trzech lat w południowej Kalifornii trwa susza. Koryto rzeki Los Angeles zamienia się w sprażoną skorupę. Studnie są puste. Pewnego dnia William Mulholland kładzie na biurku burmistrza swoje wylczenia: rzeka Los Angeles nie zdoła napić miasta. Susze odstraszą osadników. Miasto Aniolów pozostanie piaszczystą prowincją. Ale on wie, jak to zmienić. I zmieni.

ALEHISTORIA

Redagują: Mirosław Maciorowski (redaktor naczelny), Igor Rakowski-Kłos
Zespół: Piotr Nehring, Włodzimierz Kalicki, Beata Maciejewska, Paweł Smoleński, Bartosz T. Wieliński, Józef Krzyk
Fotoedycja: Dominik Gajda; **korrekta:** Paulina Kluk; **grafik prowadzący:** Danuta Hazuk
Adres redakcji: ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa, tel. 22 555 66 00;
e-mail: alehistoria@wyborcza.pl; **internet:** wyborcza.pl/alehistoria.

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich skracania i redagowania. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.



Sprawdź prenumeratę cyfrową „Gazety Wyborczej”:
wyborcza.pl/prenumeratacyfrowa